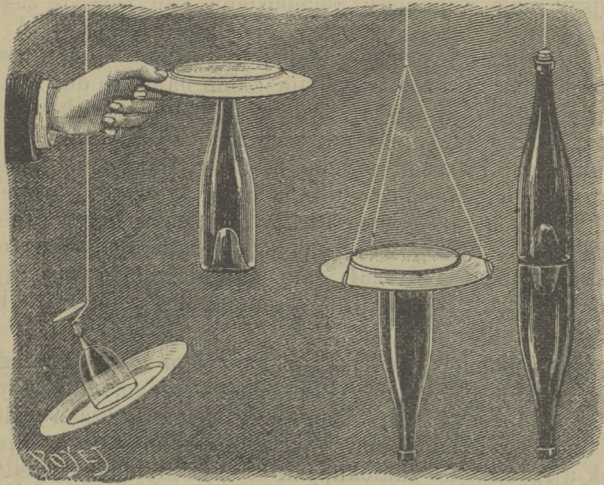




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



CISNIENIE ATMOSFERYCZNE.

Spojrawszy na rysunek pomyślicie zapewne, że te szklane naczynia są poprzyklejane do talerzy za pomocą jakiegoś cementu. Bynajmniej; przylegają one mocno dzięki ciśnieniu powietrza, które, jak wam wiadomo ma swój ciężar i przyniata nim przedmioty znajdujące się na powierzchni ziemi. Jeżeli, wyciągnąwszy rękę, nie czujemy ciśnienia powietrza, to dlatego tylko, że ugniata ją ono od góry i z pod spodu z jednakową siłą. Gdybyśmy jednak wypompowali z pod ręki powietrze odrazu poczulibyśmy ogromny ciężar. Tak samo rzecz się ma z butelką trzymającą się talerza. Wypompujemy z jej wnętrza powietrze, i usuńmy w ten sposób ciśnienie działające od wewnątrz na zewnątrz: wtedy zostanie ciśnienie na powierzchni butelki, niezrównoważone żadną siłą przeciwną i przycisnie butelkę do talerza.

Ażeby jednak wypróżnić zupełnie z powietrza butelkę, musieliśmy mieć do tego specjalną pompę tak zwaną pneumatyczną; zadowolimy się więc wywołaniem w butelce częściowej próżni; trzymamy ją więc do góry dnem ponad parą wodną: ta będąc lżejszą od powietrza, wypędza je, zajmuje jego miejsce; niebawem jednak stygnie, wskutek tego kurczy się, część wnętrza butelki pozostaje nie zajęta, mamy więc cząstkową próżnię; powietrze zewnętrzne ciśnie silniej, aniżeli para zawarta w butelce: ta ostatnia przylgnie więc mocno do talerza; powinniśmy tylko oblepić górny brzeg szyjki woskiem, ażeby się powietrze nie dostało do wnętrza.

W kieliszku możemy rozrzedzić powietrze, spaliwszy pod nim kawałek papieru; powietrze od ciepła rozrzedza się z początku, potem zaś kurczy się; jeżeli więc, zaraz po zgaśnięciu papierka przyłożymy kieliszek do talerza, to zewnętrzne powietrze, cisnące silniej od rozrzedzonego a zawartego w kieliszku, przygniecie go do talerza silnie.

Zamiast rozrzedzać powietrze wewnątrz butelek, możemy zrobić to samo we wklęsłościach znajdujących się u spodu; w takim razie butelki będą się trzymały dnami. Butelki złączone dnami i butelka przylepiona dnem do talerza, są to najłatwiejsze doświadczenia. Ażeby pojąć jakim sposobem butelki mogą tak mocno trzymać się talerzy, przypomnijmy sobie, że powietrze ciśnie na powierzchnię jednego centymetra kwadratowego przeszło, t. j. mniej więcej na powierzchnię paznogcia z siłą kilograma, czyli dwóch i pół funtów.

Ponieważ dno butelki przedstawia powierzchnię około 30 cm. przeto powietrze przyciska ją do talerza z siłą 30 kilogramów, albo dwóch pudów.

W naszym doświadczeniu nie będzie się ona trzymać tak mocno dla tego tylko, że wywołamy niezupełną lecz częściową próżnię.

WŁ. U.

Dusze winniśmy Bogu.

Każdy z nas duszę swą winien Bogu,
Ale nie w każdym duch Boży świta,
Jako nie w każdym szczepionym głogu
Podobnie piękna róża wykwita!

Jeśli sumienie twoje wyznaje,
Ześ więcej winien Bogu niż drudzzy,
Pamiętaj, że ten rachunek zdaje,
Kto talent strwoni jak owi słudzy...

A gdy przed wiecznym staniemy progiem,
Gdzie będą truchleć nawet niewinni!...
O! jak ci będą wielcy przed Bogiem,
Co znają że Mu swą duszę winni!

G. P.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Abrakadabrus do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Koralowy gród dnia 7-go Września 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Podjąłem się wyręczyć Waszego korespondenta w opisanu ostatnich wypadków, pragnąc aby przed powrotem do kraju korzystał w pełni z ostatnich chwil pobytu na wyspie, nie krępowany obowiązkami sprawo-

zdawcy—za kilka dni bowiem, pan poseł nadzwyczajny Wieczorów rodzinnych i paż przyboczny królewicza Zielonki, opuszcza Atlantę. To o czem mam pisać, odnosi

się więcej do samego Janka niż do wyspy naszej; zaszedł bowiem ważny fakt w życiu sieroty: „zualazł to czego nie szukał” — jak mu przepowiedziała Syenita.

Resztę owęj strasznej nocy, którą już podobno Janek Wam opisał, spędziłem na poufnój z królem Bożydarem rozmowie, a treść jej była niewesoła. Sędziwy monarcha zapytywał mnie, czy wedle mego zdania, minęło już wszelkie niebezpieczeństwo dla Atlanty i prosił, abym nie ukrywał przed nim prawdy. Odpowiedziałem z całą szczerością, że jeżeli trzy zdawna wygasłe kratery: Euterpe, Prozerpina i Prometheus, nie dadzą znaku życia, to niebezpieczeństwo minęło rzeczywiście — a jeżeli się zbudzą za przykładem Plutona, czeka wyspę zagłada. Król zrobił uwagę, że czasy w których te trzy kratery były czynne, musiały być bardzo odległe, bo najdawniejsze kroniki nie wspominają o nich, podczas gdy o Plutonie znajdują się w nich trzykrotne wzmianki — i zapytał, czy uczeni stanowczo orzekli że góry te, bujną obecnie pokryte roślinnością, są wygasłymi wulkanami — bo kształty ich świętego stożka, mogą być tylko przypadkowe. Odpowiedziałem, że nauka nie ma żadnej wątpliwości pod tym względem, i że gdy jeden wulkan daje znak życia, budzą się i inne znajdujące się w jego pobliżu — oraz że ja sam zwiedzałem te miejsca przed wybuchem Plutona i słyszałem w głębi ziemi charakterystyczne, niedobrze wróżące mruczenie.

Wiadomość ta silnie sprawiła na monarsze wrażenie, Atlanta bowiem jest perłą jego posiadłości — a nie chcąc snąć abym był świadkiem jego smutku, prosił bym go samego zostawił.

Opuściwszy pokoje królewskie, postanowiłem odszukać mego muła i przejechać się trochę po wyspie, dla zobaczenia

w jakim też usposobieniu znajdują się ludziska po wczorajszych wypadkach, i przekonania się czy trzęsienie ziemi szkód wielkich nie zrządziło. Wyszedszy na dziedziniec spostrzegłem Janka zmierającego także ku stajniom. Widziałem następnie jak wyprowadził osiodłanego Farysa i przejechałszy ostrożnie i zwolna pałacowe podwórze, jakby nie chciał zwrócić na siebie niczyjjej uwagi, puścił się za bramą galopem.

Ciekawy gdzie chłopiec mógł pojechać tak rano i poczuwając się zawsze do moralnej nad nim opieki, osiodłałem co najspieszniej mego pocziwego muła i puściłem się jego śladem. Z początku trudno mi go było doścignąć, bo chłopiec sadził przez płoty i rowy, jakby miał skrzydła ptaka u ramion — a mój muł już stary, nie mógł mu sprostać; ale gdy wjechał w las gęsto młodemi krzewami zarosły, musiał zwolnić kroku a wtedy jechałem już ciągle w takiój od niego odległości, żeby go tylko z oczu nie stracić i sam nie być przez niego widzianym. Gdy dojechawszy do głównego gościńca, ominął go i skierował się na prawo, domyśliłem się zaraz że jedzie na moczary i zadumałem się nad dziwnem przywiązaniem chłopca do mieszkającego tam człowieka. Niegdyś widziałem w tem głos krwi, ale wszelkie poszukiwania w tym kierunku, do niepomyślnych doprowadziły mnie rezultatów. Portret matki Janka który z jego medalionu dla porównania wyjąłem, okazał się niepodobnym do portretu wiszącego nad łóżkiem cudzoziemca, bo ten ostatni przedstawia kobietę w całym blasku młodości i wdzięków, a pierwszy zmienioną chorobą i nieszczęściem. Ważne też miała dla mnie znaczenie różnica imienia i nazwiska, na którą z początku nie zwróciliśmy uwagi, zbudzeni podobieństwem rysów do tego stopnia, że królewiczowa Jagódka o mało nie popełniła wielkiej nieostrożności. A jednak, pomimo to wszystko, pomimo wprost przeciwnych dowodów, przecucie mówiło mi często że tych ludzi łączy węzeł silniejszy nad wspólność pochodzenia i że Bóg tę zagadkę rozwiąże.

Jechaliśmy tak parę godzin: śladów zniszczenia nie wiele spotykałem, bo też i trzęsienie ziemi należało do lżejszych. Gdy już odsłoniła się przed nami polanka, Janek zeskoczył z konia, przywiązał go do drzewa i szedł ostrożnie pod okna dworku; było jeszcze tak rano, że chory mógł spać i chłopcu widocznie chodziło bardzo o to, żeby go przypadkiem nie zbudzić. Zrobiłem i ja to samo: uwiązałem mego muła i szedłem za nim równie cicho i ostrożnie. Podszedłem tak blisko żem wszystko widział i słyszał, sam niewidziany. Wyznaję, że pragnąłem znaleźć potwierdzenie moich domysłów, jeśliby się sprawdzić miały.

Cudzoziemiec nie spał: zobaczyłem go siedzącego na ganku, jakby bardziej jeszcze postarzałego, tak wszystkie zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, a w oczach widoczne były ślady łez i zmęczenia. Wyraźnie nie spał wcale tej nocy. Janek ujrawszy go zdaleka, jak strzała przebiegł dziedziniec i widziałem że chciałby mu się rzucić na piersi, ale nie śmie.

— A, jesteś nareszcie — rzepnął chory, w którego oczach radość zabłysła — myślałem żeś już o mnie zapomniał, a dziesięcjej nocy pewny byłem że cię już więcej nie zobaczę...

— Zapomnieć, ja? — powtórzył Janek z wyrzutem — o, jakże można było przypuścić coś podobnego, choćby na chwilę...! Nie mogłem przyjść w żaden sposób chociaż ciągle o tem myślałem. Bezustannie posyłało mnie w różne strony z rozkazami. Ale może pan nie wie że król Bożydar przejechał! Wczoraj był dla niego wielki pochód trzech królestw przyrody, który zajął prawie pół dnia, a ja przez cały ten czas musiałem siedzieć w trybunie posłów i nie mogłem się ruszyć. Chciałem się potem wyrwać i przyjechać tu, ale królewicz zabronił mi się oddalać od dworu. Bardzo mi było smutno żem pana nie mógł odwiedzić, a podczas tej okropnej nocy myślałem ciągle o panu. Bałem się, czy się panu nie stało co złego, i zdawało mi się, że gdybym ja tu był, to mógłbym panu przyjść z pomocą.

W głosie chłopca gdy to mówił, drżały powstrzymywane łzy, a na twarzy cudzoziemca, twarzy nieruchomej zawsze i jakby skamieniałej od bólu, odbiło się wzruszenie. Popatrzył na Janka i rzekł łagodnie.

— Moje dziecko, umrzeć raz trzeba... a czy się to stanie w taki czy w inny sposób, to wszystko jedno, gdy się ma umrzeć na obcej ziemi, zdala od swoich i gdy się jest tak samotnym, że nie ma się nawet z kim pożegnać... Byli tu wczoraj ludzie z mego kraju i jeszcze większą goryczą napełnili mi serce. Zazdrościłem im że do niego wracają i zgrzeszyłem ciężko przed Bogiem, bo przeklinałem moją dolę.

Łzy długo powstrzymywane trysnęły z oczu Janka. Przypadł do kolan nieszczęśliwego człowieka i obejmując je szeptał.

— O, na miłość Boską, niechże pan tak nie mówi, bo ja nie mogę, nie chcę tego słuchać. Bóg jest dobry, mam przecucie że ulituje się nad panem i pozwoli panu jeszcze ujrzeć kraj rodzinny. I ja też jestem sam jeden na świecie, a przecież, od czasu jakem pana poznał i pokochał, przestałem czuć tak bardzo moje sieroctwo. Myślałem... to jest, zdawało mi się... że i ja też czemś jestem dla pana, taki pan dla mnie nieraz bywał dobry... ale widzę że mi się omylił, skoro pan powiada że nie ma nawet z kim się żegnać...! Ale ja już niczego nie żądam dla siebie, tylko żeby pan pozwolił mi się kochać, a może kiedyś... z czasem... polubi mnie pan także troszeczkę. A gdy się ma kogo kochać, świat zaraz wydaje się piękniejszym, doprawdy, i wesele do serca wstępuje. Jakiż ja byłbym wtedy szczęśliwy, o mój Boże! Pan mi może nie wierzy, ale ja kłamać nie umiem i zdaje mi się, że niema tego czegoś bym nie zrobił żeby widzieć pana weselszym. Wie pan co! pan zna się na koniach, widziałem że się panu podobał mój Farys. Jest mi on bardzo drogi, bo i piękny i przywiązany do mnie i widzi pan, jest mój własny, a od śmierci mojej mateczki, nic własnego nie miałem. Ale oddam go panu chętnie, jeżeli to pana może ucieszyć!

Słowa te szlachetny chłopiec wyrzucił z piersi z pewną gwałtownością, z jakąś rozpaczliwą odwagą. Wyrzeczenie się ulubionego konika, kosztowało go, ale jego kochające serce zdobyło się na tę ofiarę dla nieszczęśliwego człowieka, którego oczy zwilgotniały. Zrozumiał on wielkość ofiary i poruszony nią był do głębi. Przesunął pieszczotliwie dłonią po ciemnych kędziarach chłopca i milczał przez chwilę, jak gdyby walczył ze wzruszeniem, wreszcie zapytał.

— Więc oddałbyś mi swego ulubieńca?

— Z całego serca, bo zresztą wiem że mu będzie u pana dobrze i że pozwoli mi go pan czasem odwiedzić, nieprawdaż? Pan będzie miał z nim ciągłą rozrywkę, to taki mądry koń!

— Dobrze, moje dziecko — rzekł uśmiechając się smętnie — przyjmuję twego konia, ale tylko pod tym warunkiem, że będziesz go miał u siebie jak dotąd i będziesz na nim do mnie przyjeżdżał. Dobrym jesteś chłopcem i nie trudno cię pokochać, ale cóż z tego, kiedy po wakacjach odjedziesz, a ja tu znowu sam zostanę.

— Zostanę z panem.

— I wyrzekniesz się kraju dla mnie? Nie, na to się nie zgodzę. Musisz wracać, bo byłbyś z czasem tak samo nieszczęśliwy, jak ja...

Janek ani chciał słyszeć o odjeździe, wreszcie zapewniał że w każdym razie nie prędko to jeszcze nastąpi, a jeżeli odjedzie, to powróci. Cudzoziemiec wpatrywał się pilnie w chłopca i wzroku od jego twarzy oderwać nie mógł, a uchem chwycił dźwięki jego głosu z tak natężoną uwagą, jakby w nim odnajdywał jakieś echa znajome, po twarzy zaś chwilami przechodziły mu płomienie.

— Czy rzewiasz wieniec z bławatków i stokrotek na ołtarzyku w lesie? — zapytał z nienacka.

— Ja, panie.

— Kto cię nauczył splatać je w ten sposób?

— Matka.

Zadrżał cudzoziemiec.

— Matka... — powtórzył. — Gdzież ona mieszkała? Jak się nazywa miejscowość w której się wychowałeś?

— Dębowa Wola.

— Dębowa Wola — powtórzył jakby szukając w pamięci — nie, nie znam tego nazwiska. Ale mów mi o twojej matce: Czy dawno ją straciłeś?

— Siedm lat temu.

— Jak ję było na imię?

— Marya.

Cudzoziemiec dziwnie na niego spojrział.

— A ojciec? — zapytał jakimś głuchym głosem.

— Ojciec... miałem cztery lata gdy nas musiał opuścić, a potem długo nic o nim nie wiedzieliśmy; listy przychodziły bardzo rzadko, aż zupełnie ustały. Odtąd datowała choroba mój mateczki; płakała, nie sypiała po nocach, kaszlała bardzo, była coraz bledsza, coraz słabsza... Wówczas stryj kupił majątek Dębowa Wola i wziął nas do siebie, osadziwszy w umyślnie dla nas zbudowanym domku, w lesie sosnowym, aby matka oddychać mogła ciągle żywicznym powietrzem. Ale to nie wiele ję pomogło. Tam też umarła. Lubiła bardzo kwiaty, zwłaszcza stokrotki. A taka była dobra, taka łagodna i kochająca, że kto ją raz widział, nie mógł zapomnieć wyrazu ję słodkiej, rozumnej twarzy, nacechowanej niewysłowionym smutkiem. Nie lubiłem nigdy mówić o niej z nikim, ale panu, zdaje mi się że bym najgłębsze tajnie mój duszy otworzył. Pokażę panu ję fotografię, mam ją tu przy sobie.

Zdjął medalion który zawsze nosił na szyi i podał mu. Cudzoziemiec wziął go w ręce i oczy jego z osłupieniem utkwily w cyfrach znajdujących się na wierzchu, a ręce drżały mu jak w febrze, gdy naciskał zameczek. Spojrzął na portret znajdujący się w medalionie, na Janka i krzyknawszy:

— Moja żona! mój syn! — upadł zemdlony.

Teraz moja obecność okazała się pożyteczną, Janek bowiem sam był tak blady jakby lada chwila miał także zemdleć. Nie mogłem zgadnąć czy się dawniej domyślał czem był dla niego ten człowiek, ale widziałem, że oddałby życie z ochotą, byle zemdlonego do życia przywołać, taka trwoga i miłość skupiły się w jego wzroku. Płacząc całował go po rękach i zaklinał mnie, abym go ratował.

Długo pracowałem nad przywróceniem mu przytomności, a wyznaję że miałem chwilę śmiertelnej obawy, wiedząc o jego chorobie sercowej. Ale radość rzadko kiedy zabija. Otworzył oczy i poszukawszy oczyma Janka, wyciągnął do niego obie ręce i przycisnął go namiętnie do piersi, szepcząc najtkliwsze wyrazy. Trudno opisać co się działo w tym dworku, będącym dotąd przybytkiem boleści i tęsknoty. Janek szalał z radości że znalazł ojca, którego oddawna miał za umarłego, a ojciec wodził ciągle za nim błyszczącymi szczęściami oczyma, i dziękował Bogu że smutny jego żywot takim jasnym ozłocił promieniem. Mimo to zauważyłem, że raz zamyslił się i westchnął. Zrozumiałem, że do szczęścia tego człowieka brakuje jeszcze czegoś, bo choć odzyskał syna, miał jeszcze coś droższego na ziemi oprócz niego.

Gdy pierwsze uniesienia minęły, cudzoziemiec opowiedział swoje dzieje. Cztery lata przebywał w kopalniach złota, gdzie ciężka praca przechodziła jego siły, a klimat trudny był do zniesienia. Najwięcej jednak dręczył go brak wiadomości od rodziny, bo listy ginęły w drodze. Trawiony tęsknotą i niepokojem, powziął szalony zamiar powrotu dla przekonania się, co się dzieje z tymi, których zostawił — ale zamiar ten zaraz na wstępie zniweczony został i położenie jego jeszcze cięższem uczynił. Po dwóch latach pokusił się powtórnie o to samo, i tym razem lepiej mu się udało. Całe miesiące tułał się po kraju nieznanym, aż dotarł do brzegu Morza, gdzie pragnął dostać się na jaki okręt odchodzący do Europy, ale powierzchowność jego wynędzniała, zwłaszcza ubiór, brak wszelkich środków pieniężnych i papierów, budziły nieufność; brano go za zbiegłego złoczyńcę i nie chciano przyjąć na statek. Przypadek wyratował go z tego położenia; w osadzie rybackiej gdzie znalazł chwilowy przytułek, umarł na tyfus majątek pozostawiony tam przez jeden z przejeżdżających okrętów. Majtek ten był jego rodakiem i przed śmiercią poradził mu, aby wziął jego ubranie i jego papiery — co też uczynił i wkrótce znalazł służbę na kupieckim statku angielskim.

skim. Odtąd żył pod innym nazwiskiem. Tak błąkał się po morzach, bo okręt na którym przyjął służbę, odbywał podróże naokoło świata i w główniejszych portach przystawał, wymieniając towary. Zdarzyło się, że w podróży tej cudzoziemiec spotkał rodaka z tych samych co on pochodzącego stron, który mu dał wiadomość o śmierci żony i syna — wiadomość, jak się okazało teraz, w połowie tylko prawdziwą. To go z nóg zważyło; zapadł na gorączkę nerwową, przyczem rozwinęła się też silniej choroba sercowa. Statek na którym służył, rozbił się w czasie burzy, a on sam wpadł w wodę i stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, ujrzał się w rękach atlantyjskich rybaków, od których się dowiedział że fale wyrzuciły go na brzegi wyspy. Tu znalazł gościnność i troskliwą opiekę królewiczowej Jagódki, która wyjednała dla niego u męża grunt w lesie, pod budowę chaty i czyniła wszelkie usiłowania dla osłodzenia jego losu i wyleczenia z choroby podkopującej coraz bardziej organizm. Janka pokochał od chwili gdy go zobaczył na turnieju, walczącego z Ursusem w obronie honoru narodowego. Teraz czuł się szczęśliwym że odzyskał syna, którego miał za umarłego, tylko ubolewał nad tem, że prędzej czy później będzie się musiał z nim rozłączyć, bo chłopiec przecież całe życie nie może pozostać na Atlantycie.

Gdy opuszczał polankę, prosił mnie Janek o objaśnienie jakim sposobem Syenia mogła przewidzieć co go spotka. Wytłomaczyłem tu tedy, że jako kobieta bystrego umysłu, świadoma położenia ludzi — o którym łatwo dowiedzieć się mogła podczas przebiegania całej wyspy — albo wnioski czynić oparte na drobnych niyb, a jednak ważnych wskazówkach i okolicznościach, kojarząc je z sobą, dochodziła do spostrzeżeń niemylnych i przewidywała konieczne następstwa okoliczności i zdarzeń. Jako rozumna, zapowiadała tylko to, co koniecznie musiało nastąpić; nieznanie sobie stosunki pomijała milczeniem, albo zbywała dwuznacznymi słowy, które różnie można było tłumaczyć. Wypadki nie były sprzeczne z dwuznaczną odpowiedzią. Że zaś często trafnie sądziła o tem co jest i co z tego wyniknąć może, zatem przepowiednie jej zyskały powszechną wiarę i zdawały się pochodzić od nadprzyrodzonej istoty. Wiedziała o cudzoziemcu że opuścił rodzinę wiedziała że Janka ojciec musiał opuścić strony rodzinne; wiedziała podobieństwo twarzy i ruchów ojca i syna, a że żyli niedaleko siebie, musieli się spotkać, zbliżyć się i poznać z czasem.

Janek dziś nie był wcale na służbie przy dworze; wytłomaczyłem go przed obojgiem królewiczostwem, którzy przyniesioną im wiadomość, z serdeczną przyjęli radością. Ale cudzoziemca czekała większa jeszcze niespodzianka. Król Bożydar każdemu przywiózł jakiś dar osobliwy: Kryszałek dostał sztuczny dyament którego tak bardzo pożądał; Pióropuszek posiadający już dwie żaby latające *Rhacophorus Reinwardtii*, (bo kapitan Tygrys przywiózł mu drugi okaz z Afryki i nic mu nie przeszkadzało już rozmnożyć na Atlantycie ten dostojny ród żabi) — dostał latającego psa azjatyckiego, *Pteropus edulis*, zwanego także Rudawką, którego jeszcze nie posiadał. Zielonko nie otrzymał wprawdzie hypnotyzującej rośliny o której marzył, i której po świecie daremnie szukali jego wysłańcy, ale dostał coś równie osobliwego: roślinę znieczulającą, *Gymnema silvestre*, należącą do gatunku *Asklepiadeó* w. Rośnie ona dziko w Indyach, a liście jej żute w ustach usuwają wrażenie słodczy i goryczy. Dwa takie liście wystarczają, aby włożony do ust cukier stracił zupełnie słodczy i czynił wrażenie piasku, a położona na język chinina, wrażenie wapna co trwa do dwóch godzin. Nie wszystkie jednak smaki usuwają się pod jej wpływem. Materye ostre, słone i ściągające, zachowują swój smak w zupełności. Działanie tej rośliny, znane mi było już z Indyi, gdzie ludność używa sproszkowanego jej korzenia, jako lekarstwa przeciwko ukąszeniom żmii. Chemicy odkryli w niej nieznaną dotąd kwas organiczny.

Podarkiem tym król bardzo uradował Zielonkę. Córka, synowe, wnuki, wszyscy hojnie zostali obdarzeni, a dziwnym trafem każdemu dostało się to czego pragnął. Co do mnie, ciekawy byłem co też otrzyma królewiczowa Jagódka, do której zawsze największą miałem słabość, ta anielska isto-

ta, znajdująca szczęście swoje tylko w czynieniu dobrze drugim. Bożydar odgadł widocznie najskrytsze życzenia jej serca, bo wręczył jej papier wielką opatrzony pieczęcią, mówiąc:

— Moja droga córko, mam tu dla ciebie coś, co zdaje mi się że cię ucieszy. Wiem że opiekujesz się pewnym nieszczęśliwym człowiekiem, chorym cudzoziemcem, i że los jego bardzo ci leży na sercu. Zawarłem niedawno układ dyplomatyczny z władzą kraju z którego on pochodzi: ustąpiłem mu jedną z licznych moich kolonii, w zamian za inne korzyści i w warunkach umowy pomieściłem bezpieczny powrót do rodzinnego kraju, dla twego protegowanego.

Moja ukochana królowna (bo najczęściej ją tak po dawnemu nazywam) przyjęła ten dar z uniesieniem radości i sama zamieszła choremu szczęśliwą nowinę, pod wpływem której, jakby cudem odzyskał siły i zdrowie. Teraz już nic nie rozłączy ojca z synem; za dni kilka obaj z Jankiem odpłyną na pokładzie Narcyza do Europy.

Król Bożydar jutro odjeżdża. Odbył on dziś z synami naradę na której byłem obecny, i w której uczestniczyli także astronom Stellarius i doktor filozofii Orthodoxus. Z narady tej wynikło, że jeżeli seismograf da znowu sygnały ostrzegawcze a wygasłe kratery zaczną zlekka dymić, cała ludność wyspy wezwana zostanie do opuszczenia swoich siedzib. Bożydar obiecał przysłać liczne okręty, które krążąc dokoła wyspy, gotowe będą do przewiezienia uciekających w bezpieczne strony. Tymczasem na okrętach atlantyjskich miano zgromadzić cenne dokumenty, archiwa, pamiątki historyczne, skarby, przedmioty sztuki i celniejsze okazy trzech królestw przyrody. Stellarius wprawdzie mówił, że z pewnych oznak wnosi iż do katastrofy nie przyjdzie, ale co do mnie, niedobre miałem przecucie. Pluton był czynny dziś kilkakrotnie a choć wybuchy jego były małe i nie groźne, jednak źle wróżyły.

Wieczorem spotkałem lorda Schockinga jak wracał z dwoma przewodnikami, w ubraniu obsypanem popiołem, z osmaloną twarzą i dużym sińcem na czole. Siedząc na koniu, jedną ręką trzymał cugle a drugą coś pisał w notatniku. Zapytał mnie o Janka z którym chciał się podzielić doznaniem wrażeniami i rzekł:

— Trzeba przyznać że Atlanta nie źle się popisała, choć mogła była jeszcze lepiej. Co za piękna rzecz wybuch wulkanu, nieprawdaż mistrzu? U stóp Plutona słyhać szmer, świst, huk i głucho mruczenie, znać że w głębi góry wre życie, a przy tem od czasu do czasu wybuchy lawy, wprawdzie nie tak wspaniałe jak wczorajszy, ale zawsze godne uwagi. Napatrzywszy się na to z dołu, zapragnąłem widzieć także z góry i uprosiłem aeronautę — który mając jutro popisać się przed królem, właśnie w pobliskiej dolinie odbywał próbę z balonem — aby mnie wziął do swjej powietrznej łódki. Wzniesiśmy się na kilkaset metrów wysoko i przekonałem się, że wybuch z góry widziany ma kształt olbrzymiej sosny, szeroko rozpościerającej konary. Ale okazała się jakaś niedokładność w balonie, gaz szybko z niego uchodził, a my zaczęliśmy spadać z nadzwyczajną szybkością i o mało nie wpadliśmy w czeluść krateru. Wiatr wpłynął na zбочzenie naszego kierunku i zaniósł nas w dolinę. Trochę wprawdzie potłukliśmy się, ale widziałem wulkan z wysokości obłoków.

Przysły list Janek obiecuje wysłać z drogi. Zabiera z sobą w tym celu gołębia pochodzącego z Warszawy.

Abrahadubrus.

Janek sierota do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Na pokładzie Narcyza dn. 12 Września 1890.

Szanowna Redakcyo!

Jestem znowu pod opieką zacnego kapitana Tamarixa, którego Narcyz dziś rano podniósł kotwicę. W jaki „sposób „znalazłem to czego nie szukał”, Szanowna Redakcyo wie już od szlachetnego mistrza. Jestem bardzo szczęśliwy! Chciałbym skakać, śpiewać, śmiać się i płakać, i sam już nie wiem co! Teraz gdy mam ojca, nie pojmuję jak dotąd żyć mogłem bez niego. Nie opuszczę go już nigdy i będziemy za-



TWIERDZA WERAŃSKA.

wsze razem, bo mistrz pewnie pisał także, że ojciec wraca ze mną do kraju. Co za szczęście!

Mimo to żal nam było jednakże opuszczać wyspę, na której oba tak szlachetnej doznawaliśmy gościnności—opuszczać zwłaszcza w chwili, gdy jest tak poważnym niebezpieczeństwem zagrożona. Dzielił się jej dobrą dolę, nie powinniśmy jej teraz w złej doli opuszczać — ojciec tego samego był zdania — ale królewiczowa Jagódka i Abrakadabrus życzyli sobie, abyśmy jak najprędzej odjechali. Jeździłem z pożegnaniem do Marmurów góry i Koralowego grodu, i wszędzie życzliwe słowa słyszałem na drogę. Obaj królewicze polecieli mi oświadczyć Szanownej Redakcyi, że gotowi są ogłosić ze swój strony konkursu, za przykładem brata Zielonki, jeżeli Redakcyja będzie sobie życzyła mieć posłów uwierzytelnionych przy ich dworach, którzyby o królestwach zwierzał i mineralów przysyłali raporta. Królewicz Zielonko i królewiczowa Jagódka żegnali mnie i ojca tak serdecznie, jakbyśmy nie byli tu obcymi przybyszami, ale członkami tej wielkiej rodziny, nad którą oni rozciągali opiekę.

— Redakcyi Wieczorów rodzinnych i wszystkim czytelnikom tego Pisma, zawieź panie pośle nasze przyjacielskie pozdrowienie — powiedział z dobrotliwym uśmiechem Zielonko, a mistrz Abrakadabrus obecny na pożegnaniem posłuchaniu, dodał:

— A jeśli będziesz na Powązkach, połóż w imieniu naszym wieniec na grobie Tej co napisała powieść o *Niezgodnych królewiczach*, i powiedz Jej, że wszyscy trzej mogą teraz służyć za przykład światu, jako zgodni, serdecznie miłujący się bracia.

— Ej, mistrzu kochany — rzekł Zielonko — zdaje mi się że brat mój Pióropuszek miał słuszość posadzając cię o zdradzenie naszej rodzinnej tajemnicy. Ale przebaczam ci z całego serca, bo wiem że to uczyniłeś w dobrym celu. Z chwastów naszej niezgody dobyteś cenne ziarno mądrości i rzuciłeś je ludziom na pożytek, za pomocą obrazu namalowanego ręką obcej autorki. Znając zaś słabość ludzkiej natury i obawiając się aby chwasty powtórnie w sercach naszych nie wyrosły, przyniosłeś nam z obcej ziemi ten obraz i pokazałeś jak wygląda. Czy nie zgadłem?

Abrakadabrus skinął głową na znak że dobrze został zrozumiany.

Damy dworskie obdarzyły kwiatami mego ojca, którego historia opowiedziana im przez królewiczową, gorące między obudziła współczucie, a mnie dostało się olbrzymie pudełko cukierków, niby od kaszlu. Koledzy moi, Viola, Albatros i Orchis, odprowadzili mnie na wybrzeże — przyszedł także z Marmurów góry i Azbest. Wszyscy okazywali smutek z powodu naszego rozłączenia, a Viola serdecznie płakał. Kochany chłopak, jakże ochotnie byłby pojechał ze mną, gdy by zależał od siebie. — Ale nie wolno mu jeszcze mieć własnej woli, musi słuchać rodziców. Na wybrzeżu spotkała mnie miła niespodzianka: całe ciało dyplomatyczne zgromadziło się dla pożegnania mnie, który to zaszczyt wielce mię zawstydził i zmieształ, bo pewny byłem że odjazdu takiego małego jak ja dyplomaty, nikt nawet nie spostrzeże. Wszyscy prosili, aby mocarstwo którego tu byłem reprezentantem, zapewnił o przyjaznych uczuciach ich rządów.

„Mocarstwo”! Jaki grzeczny ten świat dyplomatyczny: Niema jak polityka!

(d. n.)

Twierdza Weramińska.

W perskiej prowincyi weramińskiej leży wieś tegoż nazwiska, ponad którą góruje *Kaleh* twierdza w kształcie wielkiego prostokątu, uzbrojonego bastjami. Cegły świeże zupełnie kładziono przy budowaniu jedną na drugą tak, że wszystkie razem schnąc, a właściwie kamieniejąc z czasem, spajały się z sobą na wieki. Niezmiernie starożytny sposób ten budowa-

nia, zupełnie muzułmanom nieznaną, dowodzi że olbrzymie te mury niesłychanie odległej sięgają epoki. Otacza je rów i kryty chodnik, dokoła zaś stoją obronne forty w promieniu ośmiu kilometrów.

W letnich miesiącach tutejszych panuje upał niezmierny; równiny żółcieją zbożem w czerwcu, a wśród nich mrowią się setki wiosek. Gdy ogniste słońce skryje się po dniu upalnym a księżyc i niezmierna ilość gwiazd roziskrzy niebo, wtedy ruch i życie budzą się dokoła; chłód wszystko pokrzepia i orzeźwia. Podróżnik - europejczyk ze zdumieniem słyszy śpiewy wesołe, rżenie koni, szczekanie psów, nawet brzęk koników polnych, i widzi mnóstwo ludu rojącego się na łąkach wśród lekkiej nocnej pomroki. Jest to pora żniw. Kłosa złociste padają pod tysiącami sierpów nocą jedynie, gdy rosa już pokrzepi rośliny; inaczey ziarno zeszkwarzone żarem słonecznym wykruszyłyby się ze wszystkiem. Mnóstwo kobiet, a koło każdej gromadka cała żwawej dziatwy, zbierają kłosa na garście. Żnie się tak od zmroku do świtu; a większa część żniwiarzy są to najmici, którzy cały dzień następnie przesypiają pod dachem z mat na kijach rozpiętych.

Oczywiście, pomiędzy takimi najmitami i właścicielami muszą wyradzać się liczne sprzeczki i różnorodne zajścia, które rozsądza na miejscu naczelnik każdej wioski... niby wójt. Wśród jego rozległej zagrody jest dziedziniec obszerny, mający wpośrodku kwadratowe wzniesienie z darni, dalej sad duży. Zaraz po zachodzie słońca otwierają się odpowiednie zbiorniki i woda zalewa dziedziniec i ogród, których spieczona powierzchnia pochłania wilgoć w jednej chwili. Jednocześnie służba polewa i owo wzniesienie, tak rozpalone od słońca że woda niemal syczy. Potem rozściełają na nim futra i stos kołder miękkich, na których zasiada naczelnik - sędzia miejscowy *ket-khoda* i wspiera się wygodnie, koło niego *mirza* czyli sekretarz, naprzeciw niego dwaj radcowie... i rozpoczynają się sądy, przy świetle dwóch świeczników *lale*, zasłoniętych od wiatru szkłami, w kształcie tulipanów, ale bez których zarówno doskonale czytać i pisać można, przy jasnym świetle księżycy. Pomimo najskrupulatniejszej choćby sprawiedliwości sędziego i jego doradców, i pomimo że winny ma zawsze swobodny, uprzejmie mu ofiarowany wybór kary, np. kije lub odszkodowanie i t. p. jednak każda prawie sprawa, najprzywoicięj rozsądzona, zazwyczaj kończy się ostatecznie pobiciem obu stron za wrotami domu sędziowskiego.

Wieś Weramin otoczona jest i poprzeryta bujnemi sadami, ogrodzonemi wałem ziemnym. Żadna gęstwina naszych lasów nie dorównywa gęstwinie drzew owocowych weramińskich: moreli, brzoskwiń i morw o białych i czerwonych jagodach, wielkich jak jaja gołębie, a pod którymi kwiat granatów zalewa purpurą ogród cały. Miękkie słomianki rozesłane są pod drzewami, aby się spadający owoc nie miażdżył, a mnóstwo chłopięcych główek zawsze wychyla się na wszystkie strony ze szczytu morw olbrzymich i innych drzew owocowych. Zdaje się jakby i ci chłopcy wyrastali na drzewach, tak ich tam zawsze pełno.

PRZED LAT TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg).

XIV.

W domu Korneliusza Cynny niewolnik ogłosił, że jest druga godzina po wschodzie słońca, gdyż u znakomitych Rzymian wyłącznie do tego przeznaczeni niewolnicy, głośno obwoływali każdą dnia godzinę.

Kornelia kończyła właśnie spożywać śniadanie, gdy oznajmiono że jej narzeczony, Lucylla i Klaudya, z którymi miała się udać na wycieczkę do Ostyi, oczekują przed domem. Ponieważ Kornelia była już zupełnie do drogi gotową, więc karawana złożona z czterech lektyk i kilku Numidyjczyków mogła wyruszyć natychmiast. Zatrzymano się przed mieszka-

niam Batawczyka. U furty oczekiwał on swoich przyjaciół, a gdy wyniesiono lektykę, w której spoczywał jakiś jasnowłosy opalony człowiek, rzekł do pań:

— Jestto marynarz, który mi przywiózł wieści z mojej ojczyzny. Wczorajszej nocy podczas deszczu i wichury przybył z Ostyi i biedaka w moim domu spotkało nieszczęście: przechodząc przez atrium pośliznął się na wilgotnych płytach i zwichnął nogę. Pragnąłem go u siebie zatrzymać dopóki nie wyzdrowieje, ale ponieważ mój okręt odpływa jutro do Trajectum, a poczciwemu Chamaronsonowi pilno wracać do swoich, tak gorąco prosił, aby go puścić, że zaiste nie miałem serca mu odmówić.

— I dobrze zrobił, nie zatrzymując go wbrew woli — rzekła Klaudia, a jasnowłosy marynarz przesłał jej pełne wdzięczności spojrzenie jako podziękę, że bronila jego sprawy.

Orszak posuwał się szybko, dopiero na jednym placu niezliczone tłumy zatamowały im przejście. Kwintus wychylił się z lektyki, aby spytać o powód zbiegowiska i zdrętwiał z przerażenia, gdy wzrok jego padł na przybite do muru *Album*, czyli jedną z tych wielkich, kwadratowych tablic białych na których ogłoszenia malowano.

Wielkimi czerwonymi literami na albumie był taki napis: „Stefanus, zarządca cesarzowej Domicyi, za ujęcie zbiegłego niewolnika Eurymachusa przeznacza nagrodę pięćkroć sto tysięcy sestersów. Eurymachus jest szczupły, wysoki, bład brunet o czarnych oczach i podobno ma ranę w nodze”.

Magus, Bleepirus i Numidyjczyk usiłowali utorować lektykarzom drogę przez tłumy, które z wraskiem tłoczyły się około ogłoszenia i cały plac zbitą masą zaległy. Usiłowania przejścia wśród tej masy wrzeszczących ludzi były daremne.

— Ruszcie się, na Jowisza! — po grecku mówił Anreliusz do Magusa, który zrobił gest znaczący, że rozkazu tego spełnić nie może.

— Przepuście córki Tytusa Klaudyusza i siostrzenicę Korneliusza Cynny! — wołali Numidyjczycy.

— Cóż nas obchodzą te panie! — krzyknął jakiś obdarty — ulica jest dla wszystkich, a skoro patrycyszki widzą że jest ścisk, to niechaj wysiadą z lektyk; korony im z głowy nie spadną, chociaż ze sto kroków przemaszerują piechotą.

— Wysiadać! wysiadać! — ryczał tłum, w groźnej postawie otaczający lektyki.

Kwintus pobladł i zadrżał... jeśli mu się nie uda oddalić tych ludzi, jeśli plebs postawi na swoim i oni będą musieli wysiadać — natenczas wszystko stracone... Ow marynarz ze zwichniętą nogą niezawodnie wzbudzi podejrzenie i ten którego usiłowal ocalić zostanie ujęty i zgubiony.

Jednym rzutem młodzieniec wyskoczył z lektyki.

— Czego chcecie? — zapytał ostro. — Zkąd wasza zachwałosc tamować nam przejście?!... Z drogi! ja Kwintus Klaudyusz, przyjaciel imperatora, rozkazuję wam!

Imię cesarza i dumny ton rozkazu czarodziejski wpływ wywarły na ciżbę, która w głębokim milczeniu spokojnie usnęła się na bok.

Panienci oraz Kwintus i Aureliusz wsiedli razem do *rhety*, wygodnego powozu o czterech kołach, a chory marynarz z Magusem i Bleepirusem do dwukołowej kolaski, i pyszne kappadockie konie Batawczyka ruszyły tęgim kłusem. Mnóstwo wozów i jeźdźców nasi znajomi spotykali podczas tej szybkiej jazdy. Mijając siwka na którym siedział okazały mężczyzna w lekkim podróżnym płaszczu przewieszonym przez ramię, Lucylla zawołała:

— Patrz-no Kwintusie — oto Enejusz Afraniusz!

Usłyszawszy swe imię prawnik mile zdziwiony skinął ręką na powitanie i jechał już obok powozu. — Dażymy jak widzę w jedną stronę — rzekł.

— A tak — odpowiedział Aureliusz — my, aby użyć miłej przejażdżki, a ciebie coź ciągnie do Ostyi? Chęć odwiedzenia matki, czy też jakie sprawy?

— I to, i to potroszę. Wiesz że wszelkimi siłami walczę przeciw zarządcy cesarzowej. Jadę więc w pewnej sprawie dotyczącej tego łotra, bo myślę, że na ślady natrafę

w Ostyi. Gdybym to znalazł wszystkich świadków, a przynajmniej najważniejszego! Ale coź, nie mam nadziei... Przepadł bez śladu. Ach! gdybym mógł kędyś przydybać tego Eurymachusa i od niego wydobyć tę tajemnicę!

Kwintus i Aureliusz porozumieli się wzrokiem.

— Mój drogi Afraniuszu — przemówił Batawczyk — będziesz musiał przyjść na pokład mojego okrętu zanim wypłynię z portu.

— I owszem.

Lucylla była srodze zagniewana, że adwokat wyłącznie tylko rozmawiał z Kwintusem i Batawczykiem, zamiast z Kornelią i Klaudyą, no... i z nią także. „Bo chociaż nie jestem tak piękną — myślała — wszelako dziś właśnie wyglądam wcale nie brzydko!... Baucis tak zręcznie jak nigdy ułożyła moję fryzurę, a nowa szpilka złota z pysznym rubinem, ślicznie przystraja moje ciemne włosy...”

— Słuchaj-no Kwintusie — pōłgłosem przemówiła do brata — dziś jesteś taki nudny? Na początku podrōzy milczałeś niby głaz, a teraz znów rozprawiasz o procesach, zbiegłych niewolnikach i tym... tym ohydny zarządcy cesarzowej Domicyi.

Afraniusz usłyszał słowa dziewczyny, roześmiał się i rzekł:

— Przebaczenie, dostojne panie. Wynurzam najgłębszą skruchę, żem wykroczył przeciw paragrafom uprzejmości... Na dowód przebaczenia raczcie łaskawie przyjmą gościne w domu mojej matki w Ostyi. Maleńki to dworek, ale w najpyszniejszym owocowym sadzie. Wykwintnych łakoci niema wprawdzie u nas, ale proste wiejskie przysmaki doskonale głód zaspokoją... Więc mogę mieć nadzieję?...

— Z przyjemnością wielką odwiedzimy twą matkę — odrzekła Klaudia, a niedługo potem, Fabulla, siwowłosa matka adwokata, przyjmowała zaproszonych przez syna gości.

Mężczyźni przepędzili jakiś czas na okręcie Batawczyka rozmawiając sam na sam o chorym marynarzu, potem okręt o różnobarwnych flagach rozwinął żagle i przy pomyślnym wietrze, majestatycznie z portu wypłynął na pełne morze, a Kwintus, Aurelius i adwokat wrócili do dworku Fabulli, gdzie cały dzień upłynął im niezwykle przyjemnie śród poufałej, przyjaznej gawędki i wesołych żartów.

XV.

Owego dnia, kiedy walne posiedzenie senatu roztrząsać miało projekt ustawy przeciwko Nazareńczykom, Kwintus postanowił odwiedzić ojca.

Obcując teraz często z Nazareńczykami, młody Klaudyusz nabrał przekonania, że tylko Chrystusowa wiara mogła ukoić tęsknotę i ból jego duszy. Thrax Barbatus opowiadał często o Boskim mistrzu, o Jego pielgrzymkach w ziemi palestyńskiej, o Jego cudach i śmierci męczeńskiej na krzyżu. Ten obraz cudów i cierpień Chrystusowych — obraz który już tyle serc nawrócił i na Kwintusa wywarł nieopisane wrażenie... Raz, kiedy Thrax Barbatus skończył opowiadanie, młody Klaudyusz uściskał go i zawołał ze łzami:

— Przyjmijcie mnie!... ja całą duszą już do was należę.

Postanowiono, że w owym kamieniołomie gdzie chrześcijanie zbierali się na modlitwy, Kwintus Klaudyusz ma przyjąć nazajutrz chrzest święty.

Ta okoliczność sprawiła, że Kwintus czując jaki rozbrat nastąpił pomiędzy nim a ukochaną rodziną, smutny i onieśmieszony wchodził do rodzicielskiego domu. A właśnie arcykapłan leżąc wygodnie na miękku wysłanej, marmurowej ławie spożywał ulubioną swoją potrawę: jajka i garum, to jest przysmak podobny do naszego kawioru, przyrządzony z ikry ryb morskich.

— Dzień dobry braciszku! — zawołała Lucylla — czy nie zjesz z nami śniadanie?

— Dziękuję ci, już jadłem — odpowiedział Kwintus, siadając. — Więc to dzisiaj w senacie walna narada? — spytał zwracając się do ojca.

— Czy nie wiesz o tem, mój synu? Masz już dwudziesty trzeci rok, Kwintusie i powinienbyś już doprawdy na serio zajmować się ważnemi sprawami państwa! teraz właśnie, kiedy wszyscy dobrze myślący obywatele rzymscy powinni swęj troskliwości o dobro Romy dowieść czynami.

— Mówią, że ustawa przeciw Nazareńczykom za surowa — nieśmiało wyrzekł Kwintus.

— Jest taką, jaką być powinna.

— I zostanie przyjętą bez żadnej zmiany?

— Rozumie się. I któryżby z senatorów przeciw niej głosował, oprócz Nerwy, Korneliusza Cynny i kilku może półgłówek.

(d. c. n.)

Z DALEKA.

Chińczycy są narodem, który posiada największą na całej kuli ziemskiej liczbę dzieł, odnoszących się do historii ich kraju. Trzy urzędy są wyłączenie zajęte zbieraniem i opracowywaniem materyału do historii każdego cesarza. Pierwszy zwany „Biuro archiwów dziennych” ma zawsze przedstawiciela przy boku cesarza; tak w życiu publicznem jak i prywatnem cesarz strzeżony jest nieustannie przez historyka. Drugie biuro „historii współczesnych”, opracowuje akta państwowe i rozporządzenia urzędowe, a trzecie, zwane „kolegium historii dynastji” zajmuje się archiwami dynastji panującej oraz życiorysami osób, które położyły zasługi dla domu panującego. Dla uniknięcia, aby obawa lub pochlebstwo nie wpłynęło na prawdomówność historyka, notatki codzienne pierwszego biura są wrzucane do żelaznej skrzyni, która dopiero otwierana jest po śmierci cesarza; z tego samego powodu historia dynastji ogłaszana dopiero bywa po jej wygaśnięciu. Te dzieła urzędowe, których objętość jest niezmierna, streściło już czterech historyków, na piątego historyka, któryby napisał historję obecnie panującej dynastji, świat czeka jeszcze. Dzieła pierwszego z historyków obejmują 90 ksiązek, czyli około 20 tomów; drugiego — 130 ksiązek, trzeciego 360, a czwartego 55. Historia 24 dynastji razem zawarta jest w 3226 ksiązkach, czyli 1633 tomach. Chcąc dać pojęcie o objętości materyału do pisania historii dość powiedzieć, że historia ostatniego cesarza, który panował tylko lat 13, obejmuje 150 tomów. Nadto istnieje jeszcze podrzędna historia, również urzędowa, jak naprzykład opis powstania Taipingów w 211 tomach, powstania Nienfei w 160 tomach i opis powstania mahometańskiego w Kaszgar, Konsuh i Yunnan, który wszakże nie jest jeszcze skończony. Nadto każda ze starych dziewiętnastu prowincji ma swoją historję, zebraną przez oddzielną komisję. Każdy departament i każda prefektura mają również własną historję; powiększa to liczbę dzieł historycznych o 200. Jeżeli doliczymy do tego jeszcze miasta, w takim razie każde z 2000 blisko okręgów będzie miał historję złożoną z 10-ciu do 20-tu tomów. Co się tyczy formy i treści historii chińskiej, są to kroniki. Słynny w starożytności uczony chiński Konfucyusz, pisał swoje dzieła historyczne w formie roczników a nawet dzienników, przeto metoda jego jest do dzisiejszego dnia sumiennie naśladowana.

Je	kie	dy	by	o	chło
że	znasz	o	Wprzód	nim	nać
li	do	bra	zy	po	wiesz
wpa	zy	ra	le	licz	co
dasz	w gniew	złość	i	do	dzie
sto	chuj	ra	a	ciu	się

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

od Rosiczki z nad rowu dla Poranka majowego
i Srebrnej gondoli.

Z następujących sylab: lo—a—zap—cho—ment—ga—di—wa—ha—ce—e—i—kar—sel—no—mil—ters— ułożył wyrazy: 1. Jezioro we Włoszech. 2. Roślina z rodziny jednoliściennych pochodząca z Meksyku. 3. Nazwa ogólna każdej materyi spajającej. 4. Wódz kartagiński. 5. Odbicie głosu. 6. Zasłużony i czynny pisarz czeski naszego wieku. 7. Bogini grecka której myt opisywali różni pisarze. 8. Miejscowość w prowincji Nadreńskiej sławna wodą mineralną. Początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół utworzą nazwy dwóch Park mytologicznych połączonych spójnikiem i.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

Szarady: Balladyna.

Łamigłówki sylabowej:

1. Ptaki.
2. Izys.
3. Oaza.
4. Tarnów.
5. Rio-Negro.
6. San.
7. Kaczka.
8. Almanzor.
9. Regio.
10. Grimzel.
11. Angora.

Piotr Skarga i Sawonarola.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincji w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Doświadczenie atmosferyczne (z drzew.) — Dusze winniśmy Bogu, wierszyk. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (c. d.) — Twierdza weramińska (z drzew.) — Przed lat tysiącem. — Z Daleka. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Bobry (z drzew.) — Janek niezgoda p. Maryę Weryho. — Dzień powrotu tatusia p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



BOBRY.

BOBRY.

Bobry, które przedstawia rycina nasza, większą część swego życia spędzają w wodzie. Są one bardzo podobne z kształtu główki i potrosze z całej postaci do szczura i podobnie jak szczur, mysz i zając należą do rzędu t. z. gryzących, które, posiadają długie ostre i mocne kły. Skóra ich jest koloru płowego, szaro niebieskiego, a nawet czarnego, spód bóbr ma jaśniejszy od grzbietu; najciekawszym jest ogon bobra, długi na 30 centymetrów i pokryty łuską, podobną do rybiej. Trzeba wam wiedzieć, że bóbr kiedyś licznie zamieszkiwał rzeki i jeziora naszego kraju; jego piękne futerko jest wszakże wielką przynętą dla myśliwych, to też bóbr został prawie zupełnie wytępiony i dziś ukrywa się tylko w obszernych lasach nadnarweńskich i w Białowieżkiej puszczy, gdzie go chronią od prześladowania. Spotkać go można na Dunaju, w Północnej Ameryce, w Kanadzie, lecz i stamtąd wkrótce zniknie.

Bóbr, jestto zwierzę dość duże, ma bowiem przeszło trzy stopy długości i waży do dwóch pudów (80 funtów).

Dodatek do N. 43, 1891 r.

Jak powiedzieliśmy, lubi on bardzo wodę, a mianowicie ustronne głębokie jeziora, leśne rzeki i strumienie: pływa i nurkuje doskonale; natura dała mu zwierające się nozdrza i podwójne powieki, ażeby mógł wygodniej przebywać pod wodą. Liczni nieprzyjaciele bobra wyrobili w nim nadzwyczajną ostrożność; wychodzi on ze swych nor, wykopanych nad brzegiem rzeki, dopiero za nastaniem zmroku; pływa, od czasu do czasu pokazując koniec nosa z wody, a wraca do swego mieszkania wtedy tylko, kiedy nie podejrywa żadnego niebezpieczeństwa; będąc zaniepokojonym, wydaje płaczliwy krzyk, najlepiej lubi korę drzew i łodygi lilij wodnych. Obnażając z kory drzewa przyprawia je o śmierć, jego ostre zęby są przytem ciągle w robocie; przegryza pnie, grube na łokieć przeszło. Nieraz w pobliżu swojej nory psuje w przeciągu jednej nocy po kilkanaście młodych drzewek.

Potrzuje on drzewa na budowę domków. W lecie bobry trzymają się zwykle parami; za nadejściem jesieni łączą się wszakże w stada liczące po paręset sztuk, wyszukują jakiego głębokiego jeziora lub rzeki w lesie

i przystępują do budowania osady. Pracują razem i to tak umiejętnie, jakby się uczyły sztuki budowania. Najprzód dla pogłębienia wody i zabezpieczenia się od wylewów, sporządzają z grubych pni z gałęzi i gliny tamę, którą ubijają ogonami, woprzek koryta rzeki; materiały potrzebny do budowy, spławiają sobie z góry rzeki. Zrobiwszy tamę, zaczynają stawiać domki dwupiętrowe z okrągłym dachem, wystającym z wody; wszystko w takim domku jest urządzone bardzo starannie i pięknie. Na dole mieszczą się zapasy żywności na zimę, górne zaś piętro służy za mieszkanie dla całej rodziny, Ściany tych wodnych pałacyków są kunsztownie splecione z gałęzi a na dole wyłożone nawet gliną. W ten sposób bobry zakładają nieraz osady, składające się z kilkudziesięciu domków. Niestety, lisy, wydry, a głównie człowiek tępią te przyjemne i rozumne zwierzątka. W Ameryce corocznie sprzedają do 60,000 skórek bobrowych, a także płyn mający zastosowanie lecznicze zwany strojem bobrowym. Nic więc dziwnego, że prześladowane zawzięcie bobry, ażeby się ukryć przed oczyma ludzkimi, coraz rzadziej budują swe domki, a przebywają w norach ziemnych, gdzie jednak starają się również o wygody.

Wł. U.

JANEK - NIEZGODA.

Janek nie był już małym chłopcem, bo miał lat sześć przeszło. Od roku bardzo chętnie chodził do szkółki.

A bo też tam weselej było niż w domu!

Dzieci dużo, dziewczynek i chłopców, małych i większych. Wszystko to się bawiło, biegało i śpiewało. Pani w szkółce opowiadała rozmaite ciekawe rzeczy: raz o wiewiórce, drugi raz o wróblu; to znowu bajeczkę o jakim chłopczyku. Potem dawała wychowañcom rozmaite zajęcia: to z pasków papierowych robiły dzieci patarafkę, to koszyki z patyczków i wiele innych rzeczy.

Niektóre dzieci pracowały pilnie, wykończyły prędko roboty i zabierały je do domu.

Janek z upodobaniem przyglądał się koszykom, pudełkom; ale nie lubił nad nimi pracować. Najczęściej pobrudzi swoją robotę, pogniecie, popsuje i nic do domu zabrać nie może.

Pani często napominała Janka, żeby był pilniejszym, żeby choć na święto co zrobił rodzicom, ale Janek na to nie zważał.

Nietylko był on leniuchem, ale i wielkim nudziarzem. Ponieważ nic nie robił, więc wszystkim dokuczał: jednemu dziecku nitkę porwie, drugiemu patyk złamie, tego szturchnie, owego szczyplnie, słowem krzywdzi każdego jak może. Nadeszła gwiazdka. Nauczycielka urządziła choinkę dla dzieci i zaprosiła ich razem z rodzicami.

Wieczorem na choince zapalono świece. Wisiały na niej łakocie i pudełka, a obok umieszczono stół, na którym leżały roboty dziecinne.

Nauczycielka wołała każde po imieniu. Dzieci kolejno występowały i zabierały swoje roboty, aby je zanieść w upominku rodzicom.

Rodzice nie spodziewali się wcale, żeby ich dziatki umiały co ładnego zrobić, a było tu nie mało ślicznych rzeczy. Więc dziękowali im, całowali, ściskali.

Karolcia zrobiła popielniczkę z gliny; Mania książeczkę do igieł; Feluś przycisk i mnóstwo innych rzeczy.

Mama Janka siedziała też tutaj i czekała podarunku od syna, ale daremnie...

Janek stał ze spuszczoną główką. Nie wywołała go nauczycielka, nie wziął też nic ze stolika.

— Teraz dzieciaczki — rzekła nauczycielka — bawcie się w jaką grę ulubioną, a ja zagram wam na fortepianie.

Dzieci w jednej chwili porwały się z miejsc, podobierały sobie pary i zaczęły bawić się w kolęj, potem w młynka, w kota i myszkę... Janek tylko stał wciąż przy mamie, nikt nie przyszedł wziąć go do pary, nikt do zabawy nie zaprosił.

Obejrzał się jeszcze parę razy i sam podszedł do grających.

Ale dzieci zawołały jednogłośnie.

— Nie trzeba nam Janka, nie trzeba, nie bawimy się z nim.

Tu już nie wytrzymał Janek: głośno zapłakał i pobiegł do mamy.

Mama również była bardzo zmartwioną, łyzy miała w oczach i nie mogła zrozumieć, dla czego synka jej nie lubią i dla czego żadnej nie dostał robótki.

Ale Janek wszystkiego się domyślił i długo jeszcze płakał.

Marya Weryho.

DZIEŃ POWROTU TATUSIA.

Jestem pewna, że niegrzeczniejszego chłopczyka jakim był Karolek, nikt chyba nie znał. Bo to i psotny, i grymaśny, i naprzykrzony i uparty, słowem, wszystkie wady wieku dziecinnego w nim jednym się mieściły.

Zupełnem jednak przeciwieństwem Karolka była młodsza jego siostrzyczka Lusia, najlepsza, najmiłsza w świecie dziecina.

Karolek miał lat ośm, Lusia sześć.

Dzieci już się uczyły przy cioci, ale doprawdy, biedna była ta ciocia gdy nadeszła godzina lekcyi, i gdyby nie miłość jaką miała dla siostrzeńców, pewnie byłaby się wyrzekła tej przyjemności.

— Karolku, chodź do lekcyi, patrz już po dziewiętej — mówi ciocia.

— Zaraz, zaraz — odpowiada Karolek, i już jest za drzwiami.

Nareszcie sprowadzają zbiega, i teraz rozpoczyna się męka cioci Halinki.

Karolek zamiast na książkę patrzy w sufit, kopie pod stołem nogami, ręce w nieustannym ruchu, aż tu niedługo jedna ręka jedzie do oczu, potem druga, naraz hm... hm... hę... hi... i piskliwy głos woła przerywając sobie hm... hi... i t. p.

— Ja tego nie potrafię... ja... hm... ja... hi... tego... hę... nigdy się... hu... hu.. nie nauczę. — Wtedy ciocia bierze się za głowę ze zmartwienia, Lusia otwiera

szeroko niebieskie oczęta, przyglądając się ze zdziwieniem wilczkowi na dwóch nóżkach, a kotek Lusi, śliczny Kizio, chowa się w najciaśniejszy kącik ze strachu.

Na to wchodzi mama.

— Co się tu dzieje? — pyta, spoglądając na Karolka, który po całej buzi rozmazał łzy palcami umorusanymi w atramencie.

— Mamusiu... hę... hu... — mówi Karolek — ja tego... hi... hm... nie mogę... bo takie... hę... trudne...

Mama przez chwilę patrzy ze smutkiem na umorusanego synka, a potem mówi do cioci:

— Puść go, Halinko, niepodobna abyś się tak męczyła, niech się nie uczy, ojciec za tydzień wraca może mu obmyśli jakie zajęcie.

— Tatuś wraca? — zapytała Lusia z radością.

— Wraca, i zdrow prawie zupełnie, miałam dziś list; pyta się tatuś o dzieci, i pisze, że już zawczasu się cieszy radością, jakiej spodziewa się doznać po powrocie, gdy zobaczy, jaki zrobiłyście postępek w naukach.

— Mamusiu — mówi Lusia z zarumienioną buzią — zapisałam przez ten czas trzy zeszyty i nauczyłam się dla tatusia czterech bajeczek, a książeczkę którą dostałam na imieniny, przeczytałam całą.

Mama pocałowała Lusię w głowę.

— Ucieszy się tatuś, że ma tak pilną córeczkę — rzekła z zadowoleniem — i to mu z pewnością do zdrowia pomoże, bo nic tak zdrowia nie niszczy jak zmartwienie.

— Ach mamó! ja się będę jeszcze więcej uczyła, aby tylko tatuś był zdrow zupełnie — zawołała Lusia — ja nie chcę przyczyniać się do choroby tatusia.

— Dobra jesteś córeczka, Lusi — rzekła mama — widzę że kochasz rodziców, i że będziemy mieli z ciebie pociechę. Ty Karolku, wyjdź z pokoju, nie męcz cioci Halinki i nie przeszkadzaj Lusi. Możesz iść gdzie ci się podoba, do przyjazdu tatusia jesteś zupełnie wolny od nauki.

— I owszem — zawołał Karolek — tydzień swobody, a jak tatuś wróci, sam powie, że ja za dużo się musiałem uczyć.

I szach! mach! książki do szuflady, i w podskokach wybiegł szybko z pokoju.

Tydzień minął jak jedno okamgnienie. Karolek od rana do wieczora nic nie robił, Lusia podwoiła pilności i pracy, mówiąc, że chce, aby tatusiowi jak największą przybyło zdrowia.

Nareszcie tatuś przyjechał. Ach! co też to była za radość. Po dwóch miesiącach niebytności w domu tatuś wrócił zdrow, bardzo wesóły i szczęśliwy, ujrawszy ukochane dzieci.

Po kilku godzinach, gdy wszyscy siedli przy kolacy, tatuś zaczął się wypytywać cioci Halinki, jak się też dzieci uczyły podczas jego nieobecności i czy były grzeczne.

— Ach, mój bracie — rzekła ciocia — nie mam słów na wypowiedzenie, jak Lucia była grzeczną i pilną w naukach. Sam się o tem przekonać możesz, posłuchawszy jak czyta płynnie i uważnie, i zobaczywszy, że pisze wcale niezła.

— Chodź córeczko, niech cię uściskam — rzekł tatuś wyciągając ręce do zarumienionej dziewczynki — słysząc te pochwały, czułem jakieś siły i zdrowie wstępujące we mnie. Niema szczęścia większego dla rodziców, jak dobre, kochające i pilne dzieci.

— Tak — rzekła ciocia — Lusia robiła wszystko co mogła, aby tatusiowi zrobić przyjemność za powrotem.

— A teraz kolej na Karolka — mówił tatuś zsadzając Lusię z kolan i patrząc w stronę chłopczyka — cóż mi powiesz siostrzyczko, o synku?

Ciocia spuściła oczy i zaczęła mięszać w filiżance, żal jej się bowiem zrobiło brata, że nie usłyszy nic pomyślnego o synku, którego tatuś bardzo, bardzo kochał.

— Karolek niech sam powie o sobie — odezwała się mama — niech się pochwali, co przez ten czas zrobił.

— Dobrze? No, chłopcze; jakżeś tu czas przepędzał? — zapytał tatuś.

— Ja... ja... tatusiu... to jest... ja... — bąkał Karolek.

— Więc cóż, ty? — rzekł ojciec wesóło jeszcze.

— Ja... bo proszę tatusia... ja... — i dalej ani rusz.

— Więc nic nie możesz powiedzieć, jak tylko to jedno ciągle? — zapytał ojciec, i twarz jego spochmurnała.

— To ja dokończę — rzekła mama — Karolek przez cały czas twój nieobecności był bardzo niegrzeczny i nic się uczyć nie chciał. Musisz pomyśleć, co z nim dalej robić będziemy.

Tatuś odsunął od siebie herbatę, nie rzekł i słowa, a po chwili dopiero powiedział, że musi się iść położyć, bo go bok boli, i że uczuł nagłe osłabienie.

Uściskał Lusię, powiedział cioci dobranoc, na Karolka nie spojrział wcale, i wyszedł z mamą z pokoju.

— Ach, ciociu — rzekła Lusia z płaczem — może tatuś znów będzie chory, i znów wyjedzie z domu na tak długo.

Karolek stał ze spuszczonei oczyma, nie rzekł jednak ani słowa, i dzień radosny powrotu tatusia, zakończył się wcale niewesoło.

Karolek długo usnąć nie mógł, przewracał się na łóżeczku, myśl niepokojąca dręczyła go, że to on zmartwił tatusia i sprowadził powrót choroby, i serce biło mu w piersiach jak młotem.

Gdy mama przed udaniem się na spoczynek, zbliżyła się do łóżka Karolka, zdziwiła się mocno zastawszy go nie śpiącego i z rumieńcami na twarzy.

— Nie śpisz? — spytała niespokojnie.

— Nie mogę, mateczko — odpowiedział — a tatuś jak się ma teraz?

— Słaby — odpowiedziała mama smutnie — i jeżeli do jutra nie będzie lepiej, wezwiemy doktora.

— Mateczko! — zawołał Karolek zrywając się z łóżka — to ja doprowadziłem tatusia do choroby, to jam temu winien. Pozwól, że pójde do tatusia, przeproszę, ucałuję i przyrzeknę poprawę... ja nie chcę żeby tatuś chorował.

I póty prosił, aż mama zezwoliła i sama go zaprowadziła do łóżka tatusia.

Karolek z płaczem przyrzekł poprawę, i długo siedział na łóżku ojca, zasłuchany w słowa jego, aż nareszcie uspokojony na sumieniu, dowiedziawszy się, że ojcu lepiej, poszedł spać z lekkim sercem, i usnął natychmiast.

Jakież było zdziwienie cioci Halinki, gdy na drugi dzień weszła do pokoju szkolnego, i zastała Karolka układającego swe książki i zeszyty.

— Dzień dobry cioci—zawołał wesoło całując cię w rękę.

— Czy mi się śni, czy nie dobrze widzę? — rzekła ciocia przecierając oczy — Karolek już przy książkach?

— Już ciociu, i teraz codzień tak będzie — odpowiedział chłopczyk — dawnego Karolka niema, wyprawilem go do Ameryki, był próżniak, nic dobrego.

— A to ślicznie! — rzekła ciocia uradowana—żeby tylko nie zechciał powrócić, bo nam tu będzie dobrze bez niego.

— Oho! — zawołał Karolek — nie wróci, nie, mam na niego sposób.

— I jakiż to? — zapytała ciocia.

— Przypomnę mu dzień powrotu tatusia.

— Zdaje mi się, że to będzie dostateczne — rzekła ciocia — biedny dawny Karolek miał dużo i wstydu i zmartwienia, więc być może że nie powróci.

Po doktora nie posłano, tatusiowi zrobiło się lepiej, i z dniem każdym było lepiej i lepiej, aż wreszcie tatuś wyzdrowiał zupełnie.

Ale, jak się też Karolek uczył! a jaki był grzeczny i posłuszny, to w całym domu nikt go poznać nie mógł, a w krótkim czasie wszyscy mówili, że niema szczęśliwszych rodziców, jak rodzice Karolka i Lusi.

Bronisława Porawska.

SZARADA.

Pierwsze z drugim, gród wszystkim dość znany,
Drugie z pierwszym szkodnik, zewsząd wypędzany,
Więcej sylab niema, te dwie całość tworzą
Do odgadnięcia, wiele trudu nie przysporzą.

LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Kingi dla Sosnowej igielki.

Z następujących sylab: Brzo—lo—ki—ros—e—zów
--na—tów—w—vell—dub—wer—bro—gi—el—sal—
blin — ułożyć wyrazy: 1. Miasteczko w Galicyi. 2. Futro pochodzące z łasicy. 3. Miasto w Stanach Zjedn. Amer. pół. 4. Miasto pod Paryżem z dawniejszą król. rezyd. 5. Miasto w Grecyi. 6. Miasto w Irlandyi. 7. Rzeka w Hiszpanii. 8. Miasto w Rosyi. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów powinny utworzyć nazwy dwóch znanych pałaców w okolicy Warszawy.

Lamigłówki kwadracikowej: R a w a
a j e r
w o s k
a r k a

Zadania konikowego:

Choć ładne kąkole

Bujne kłosa wołę.

Ewa Marya.

Skrzynka do listów.

Nie, **Złota Pszczołko** kochana, nie zaginał twój liścik, lecz kolei swojej czeka. Dla uniknięcia ciągłych zaległości prosimy, aby nadsyłać tylko po jednym liściku i to wtedy, gdy poprzedni zostanie wydrukowany. Powodzenia w naukach szczerze życzymy; kto tak piękny obrał sobie pseudonym, potrafi zapewne ocenić wartość naszego życzenia.

Malina z nad Wisły „nowa korespondentka” pragnie wiedzieć w ilu latach zostaje się „staruszką”. Piętnastu na to trzeba! wiek to już bardzo poważny, ale i staruszki miewają bardzo gorące serca, jak nam tego dają dowody w listach swoich do Redakcyi. **Lamigłówka** dobra, dziękujemy za nią, lecz prosimy o inną.

Figlarko droga, całem sercem współczujemy twojej niedoli! Strata matki ciężkiem jest nieszczęściem i nie dziwimy się też, że przygnębioną się czujesz.

Bardzo ładnie zrobił **Jaśko Warszawiak** że sił swoich spróbował na polu konkursowem. Nie wątpimy że starał się napisać dobrze.

Od **Władzi Wr.** odebraliśmy słów parę z ozdobą tak miłą, że najszczerzej za nią dziękujemy.

L. bardzo niedokładnie wyraziły swoje żądanie. Czy chcesz by im przesłać jaką książkę zawierającą komedyjki? Trudno nam to uczynić, bo nie mamy adresu. A może się przyda która z komedyjek, drukowanych już w *Wieczorach*?

Największą to zaletą książki, **Prawdo** kochana, gdy oderwie myśl naszą od trosk codziennych, a największą zaletą czytelnika, gdy pomimo czaru jakim książka przykuwa go do siebie, kładzie ją na bok by powrócić do codziennych obowiązków i nierozłącznych z niemi trosk i przykrości. Masz rację, dziewczeczko droga, że „śmiałem okiem” spoglądasz w przyszłość. Życie ma trudności swoje, i to wielkie, ale trzeba im stawiać czoło zawsze. O wiadomości o twoich losach prosimy.

Życzeniu **Andzi R.** zadość uczynimy. Dla czego to tak dawna prenumeratorka dopiero teraz „nabrała odwagi” odezwać się? Liściki naszej dziatwy sprawiają nam zawsze jak największą przyjemność.

Czarnotki robota przyjdzie już po konkursie; niemniej przeto wdzięcznie ją przyjmie obdarowane nią ubogie dziecko.

List **Janinki Mich.** musiał zaginąć, Redakcyja bowiem nigdy nie zbywa milczeniem odezwy swoich czytelników. Dodatek poświęciwszy dostarczyliśmy w pierwszym jeszcze kwartale każdemu, kto go zażądał i przykro nam, że Janinka mogła nas posądzać o nieuwzględnienie jej prośby. Obecnie posyłając numer żądany prosimy o bliższe poznanie się z nami za pośrednictwem liścików na które *zawsze* odpowiadamy. Książki wysłaliśmy; zawsze chętnie spełniamy prośby naszych czytelników.

Kochana **Libello** i **Niezapominajko**, liściki nasze minęły się; tobie **Dziewojo** droga, dziękuję za pamięć i proszę o doniesienie jak ci na imię. W *Wieczorach* czytam z przyjemnością „Zwalczone Uprzedzenie” i „Przed lat tysiącem”, a co wam najwięcej się podobają? *Różowa Jutrzenka.*